

# DZIS JUTRO

## KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok V

Warszawa, 4 wrzesień 1949 r.



CIV 5013

Nr 35 (197)

Jan Józef Szczepański

## UWAGA! NADCHODZI...\*)

Wielki wstrząs wybił mnie ze snu. Więcej: wyrzucił wprost z łóżka. Stałem boso na podłodze, wytrzeszczając nie rozumiejące nie oczy na postaci w białym, wyskakujące z sąsiednich łóżek. W uszach drgał mi wysoki dźwięk szarpniętych, jak struny szyb; ale musiało to być wspomnienie sprzed paru sekund, bo właściwie poza trzeszczeniem przyz i tupotem nie było tu żadnych innych hałasów. Przez chwilę przyglądałem się sobie wszyscy w milczeniu z głupimi uśmiechami, z wyrazem niedowierzania na twarzach.

Na przeciw mnie stał Leszek, ze zmierzwiłą czupryną, niezmiernie długi w swojej pasiastej piżamie.

— Co to jest? — zapytałem go, ochłonawszy z pierwszego wrażenia.

Uśmiechnął się. Wyraz zrozumienia i pewności siebie pojawił się w jego oczach — wojna, — od powiedział stanowczym głosem.

— Wojna?! — Gruby Haniczek teraz dopiero zeskoczył z jednego z górnych łóżek. Dotąd leżał tam cichutko wśród zbałwanionej pościeli.

— Wojna? — co za bzdury! — odezwał się jakiś oburzony głos. — Bombardują koszary, — stwierdził Leszek z akcentem zupełnej pewności.

Rzuciliśmy się do okien. Mogła być piąta i niebo pełne jeszcze było chłodnych, porannych błysków. Gdzieś het, het w górze wysoka nutą grał motor samolotu. Nie mogliśmy go dojrzeć.

Puh! Puh! Za Cygańskim Lasem głucho detonowały korki z jakichś ogromnych butli.

— Przeciwnie wali — powiedział Bednarz.

Nagle Kozyra roześmiał się hałaśliwie. — Ach wy frajery! Dzisiaj miały być ćwiczenia OPL!

— A ten wybuch to co? Też ćwiczenia?

— Dlaczego nie? Mało to razy było ostre strzelanie na Błoniach? — Łoś! Łoś! — zawołał ktoś od okna.

Wszystkie spojrzenia pobiegły za wyciągniętym w górę palcem. Coś tam laskało w młodym słońcu, jakiś kształt nieuchwytny i płynny, dalekie źródło mruzcących, zamierzających co chwila dźwięków. Z nad bliskich drzew wskoczył z nagłym warkotem ciemny, krępy myśliwiec. W pośpiesznym wysiłku wspinał się w górę, przechylając się gwałtownie zataczał krótkie łuki i malał, malał... czerniał, stawał się podobny do jadowitej, złej muchy. Po chwili głosy motorów ziały się w niewyraźny szum i obie maszyny zni-

kły nam z oczu. Powróciliśmy pod ciepłe koce, zawstydzeni, że tak łatwo daliśmy się nabrać. Zastał na wieńcu, czy warto się już ubrać, kiedy całe miasto rozwrzeszczało się niespodziewanie przenikliwym, urywanym lamentem syren.

Trudno było tego słuchać. To miało w sobie życie, jak krzyk na padniętej zniecka kobiecie.

Znowu skoczyliśmy do okien, ale tym razem niebo było puste.

— To koniec alarmu, — powiedział Leszek.

O śnie nie mogło już być mowy. Szukając ręcznika i mydła, otworzyłem walizkę. Tchnęło ku mnie słodką goryczą pożegnań, uśmiechów, wędnięcia jakichś rzeczy bardzo bliskich, kochanych i pięknych. To moje goździki obumierały wymownie na białym płótnie koszuli.

Kiedy w chwilę potem szliśmy z Leszkiem do kasyna, zaczął nas stary plutonowy Dubiel. Grube policzki drgały mu od niespokojnych uśmiechów, zacierał ręce z ozywieniem.

— No, mamy wojnę panowie — powiedział.

— Zdaje się, że pańska radość jest przedwczesna, — odparłem. Wiedziałem, że Dubiel od dziesięciu lat nie mógł dochrapać się ogniomistrza z powodu wódki i w tej chwili było mi go prawie żal. Ale on, nie mogąc opanować rozpierającej go energii, trzepnął mnie w plecy łapą ciężką, jak pletnia.

— Ptaszki pan widział, co? Słyszał pan jak do nich pukali?

— To były nasze Łosie.

— Taak, Łosie, — wydał lekceważąco mięsiste wargi. — Więc niech pan się dowie, że to były Heinkle. Zresztą rozmawiałem przed chwilą z jednym ogniomistrzem z pe-lotki, który był z fonogramem w dowództwie. Był na lot na koszary, co tu dużo gadać. Słyszał pan chyba wybuch. No więc! — Piguła była dla nas, tylko, że myśliwce zagnały drania nad błonia i tak mu dojeżdżały od góry, że już nie mógł się inaczej poderwać, ino musiał puścić bomby spod siebie. Ten lej, to mówi tamten ogniomistrz, że cały budynek dowództwa by w niego wlażł. Zasałutował rozpromieniony i podskakującym krokiem pośpieszył obnosić dalej między ludźmi swoją radość i swoją nadzieję.

Weszliśmy do kasyna. Leszek triumfował po cichu, ja jeszcze ciągle nie mogłem uwierzyć.

W pokoju bilardowym ryczało radio. Kłębiło się tam od zgiełkliwych, charczących oberków. Nasza rozeczochrana Madelon przyniosła nam kawę. Byliśmy na razie jedynymi gośćmi. Jaskrawe płyty słońca leżały nieruchomo i sztywno na przybrudzonych obrusach,

w powietrzu unosił się przykry zapach wystygłego, tytoniowego dymu. Siedzieliśmy na przeciw siebie jedząc w milczeniu. Wrzask głośnika przeszkadzał nam mówić. Leszek co chwila spoglądał niespokojnie na zegarek. Zbliżał się czas dziennika porannego. Z brzękiem ostróg wszedł Kopczyński. Zdjął czapkę, przeciągnął dłonią po swej wielkiej, czerwonej twarzy i ciężko osunął się na wolne przy naszym stoliku krzesło.

— To drze się sukiny — rzekł, ciągnąc z lwowska, — oszaleć może, jak Boga kocham. — Nieznośna muzyka obrośnięta już i tak gaszczem skrzków i gwizdów, stała się teraz beładnym wyciem. Kopczyński wstał gwałtownie, ale nim doszedł do drzwi bilardowego pokoju, coś w aparacie przesiliło się z trzaskiem i zaległa wezbrana elektrycznością cisza. — Szlag go trafił, chwała Bogu — powiedział Kopczyński. Leszek znowu spojrzął na zegarek.

Lecz oto gdzieś z głębi eteru wzniosła się rosnąca fala suchego szumu, a z niej wypłynął niespodziewanie obcy i szorstki głos: „uwaga, uwaga, nadchodzi. Lar-nia trzydzieści siedem... powtarzam: uwaga, uwaga, nadchodzi... lar-nia trzydzieści siedem...“ głos zapadł się między trzaski elektrycznych wyładowań, w szum z którego powstał. Przestaliśmy jeść, siedzieliśmy oniemieli czekając... na co? Nie wiem; ale czulem w tej chwili, jak coś niesamowitego i groźnego zbliża się, nadchodzi w bezgłośnym locie. Zdało mi się, że czarne, nietoperzo wate skrzydło owego zagadkowego „Lar-nia“ przyćmiło swą błoną blask słońca.

Głośnik wypluł z siebie jeszcze jakiś strzęp oberka i znowu zamilkł w popłochu. Tamten głos powracał z ciemnej, szumiącej dali: „uwaga, uwaga... przeszedł. Twarze kolegów wygładziły się, oczy i usta szukały pośpiesznie swych spojrzeń i wygięć, obcych i nienawistnych wszelkiemu niezrozumieniu. W nadziei, że wszystko wyjaśni się za chwilę, jak zawsze dotąd, tuszowaliśmy uśmiechami moment przeżytej paniki.

W trzasku głośnika czuło się te raz jakąś stłumioną krzątanie, jakby ktoś przygotowywał się do zatarcia przykrego wrażenia, wywołanego niespodziewaną gaffą. Wreszcie płynny, i gładki, trysnął z zawodową swadą głos speakera: „przepraszamy państwa za chwilową przerwę, spowodowaną nadawaniem komunikatu obrony przeciwniczej. Zanim przejdziemy do wysłuchania wiadomości dziennika porannego, kończymy naszą audycję muzyki z płyt w wykonaniu kapeli ludowej Feliksa Dzierżanowskiego“. Buchnęła melodia jakiegoś kujawiaka z sa-

meo środka nuty i przeciągnęła się w długi, ochrypli jęk.

Korytarz kasyna podoficerskie go rozbrzmiewał teraz gwarem rozmów, łoskotem kroków. Przychodzono tłumnie słuchać dziennika. Madelon klusowała ciężko między stolikami, roznosząc kawę i bułki. Spocona i zła nie rozumiała zupełnie co się do niej mówi.

Do nas przysiadł się jeszcze Mrozek. Podnieconym głosem opowiadał jakąś historię o naszym weteranarze, poruczniku Mausie, który wrócił z komisji poboru koni w aucie podziurawionym kulami. W ogólnym zamięcie nie mogliśmy zrozumieć o co mu chodzi. Co, co bracie? Gadasz, jakbyś miał kluski w garści! — krzyczał Kopczyński, przykładając rękę do ucha.

Nagle muzyka urwała się, a z nią razem wszystkie rozmowy.

„Na wstępie naszego dziennika porannego...“ — powiedział speaker i ochrzknął; jego głos był zupełnie zmieniony. Brzmiał tak, jakby odprysła z niego cała aktorska politura. — Zrozumiałem. — „... Podajemy państwu treść ośrędzia Prezydenta Rzeczypospolitej do Narodu Polskiego: Obywatele, tej nocy wróg odwieczny przekroczył nasze granice...“ — Głos zaciął się raz jeszcze i potem popłynął już gadko, odnajdując drogę wieloletniej rutyny. Kilka krzesel skrzypnęło w sali, ale cisza nabrzmiała i prężna zdławiła te dźwięki.

Słuchałem tych słów tak, jakbym znał je już dawno. Brzmiały jak zdania objawiające się we śnie, owe zdania, którymi z uczuciem zawstyżenia i ulgi wypowiadał sobie człowiek w najgłębszym odosobnieniu to, czemu uparcie przeczył na jawie.

Po ośrędziu nastąpił pierwszy komunikat wojenny.

„Na całej długości granicy zachodniej trwają od piątej rano za ciekłe walki. Lotnictwo nieprzyjacielskie dokonało szeregu lotów zaczepnych, obrzucając bombami drogi, stacje kolej. żelaznej oraz szereg miast otwartych. Wskutek nalotów ucierpiały dworce w Trzebuni, Sosnowcu, Częstochowie, Grudziądzu...“

W sali kasyna panował nastrój uroczysty. Z milczenia wszystkich zebranych tu mężczyzn emanowała powaga i braterstwo. Czuję się czasem coś podobnego na widowni teatru, lub kina, kiedy sztuka przedstawia sprawy honoru, poświęcenia i walki.

W przypływie nagłej ciekawości rozejrzałem się dookoła. Ludzie siedzieli w zastygłych pozach, każdy wyodrębniony z tłumu, osobny w swoim skupieniu. Gdzieś w kącie mignęła mi obrzękła gęba plutonowego Dubieła. Odrzuconą w tył głowę oparł o ścianę, oczy miał zamknięte. W tej ciężkiej, nieru-

chomej masce tylko usta drgały nieznacznie. Od czasu do czasu, koniec palcata, który trzymał w opartej o kolano dłoń, poszturchał w zadumie czubek wielkiego, sinego nosa.

Za drzwiami kasyna czekał nas znowu świat pogodny i błękitny, wykuty misternie w porannym blasku lata. Zdumiony zamknąłem na chwilę powieki. Gdym je podniósł wszystko wokół było różowe, nawet ciemna trawa kwiatników lśniła liliowo.

Dzisiaj w piątek, pierwszego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, ja Paweł Strączyński, liczący dwadzieścia lat życia, byłem świadkiem zjawiska, które nazywa się „wybuchem wojny“.

To trzeba zapamiętać.

X.

Teraz to już naprawdę coś się dzieje. My jeszcze w tym nie bierzemy udziału, ale mimo, że zapomniano chwilowo o naszym istnieniu, czuję jakgdyby gorący powiew jakiejs ogromnej, nadbiegającej fali. W naszej mrocznej podoficerskiej siedzimy jak w łodzi podwodnej, starając się zabić czas, który gdzieś w górze huczy już łoskotem spełniających się losów.

W ciemniejszym kącie izby Kopczyński dyryguje zaimprovizowanym chórem. Z energią wybija takt palcatem o poręcz łóżka, a wokół tego miarowego trzasku kilka krzykliwych głosów skanduje wesolą melodią:

„Stoi ułan na okopie,

a śmierć pod nim dołki kopie.

Granat trzasnął, ułan wrzasnął.

nie ma głowy już!“

Pod oknem, chlaszcząc kartami o brudny taboret, Bednarz, Buchta, Haniczek i jeszcze jakiś „żelazny podchorąży“ grają w skata. Bednarz opowiada partnerom historię jakichś swoich amatorów z czterdziestoletnią wdową. Pokładają się ze śmiechu, biją dłońmi w kolana i dopingują go do coraz intymniejszych zwierzeń. Fred Bednarz pęcznieje z głupiego zadowolenia. Szczypie się konfidencjonalnie w nos, wydłuża swoją wywiniętą górną wargę w kształt ruchliwego ryka — Gęba jak stara papuś — mówi, — ale co tam gęba! Temperament chłopaki, to jest ważne! O tu, widzicie: — pokazuję mały strupek pod okiem — ugryzła mnie, jak Boga kocham! Ugryzła mnie ta cholera!

„Niosą jego przez dębówę jedną nogi, drużdy głowę...“ — ryczą tamci z kąta.

Nigdy jeszcze tak nie hałasowali. Ten gwar wybuchał na jakimś nieznanym dotychczas podnieceniu.

W pewnej chwili pomiędzy karykaturami wybucha sprzeczka. Y kiedy Bednarz z palcem wymierzonym oskarżycielsko w pierś Buch-

\*) Fragment z „Pamiętnika wojennego“.

Dm 19102



## Tydzień kulturalny

### NOWA „OPERA LEŚNA”?

Ciekawe i piękne zamiary mają ojcowie miasta Gdańska. Oto Zarząd Miejski projektuje zbudowanie „Opery Leśnej” przy „Jaskowej Dolinie” we Wrzeszczu. Jako miejsca na amfiteatralną widownię miałyby służyć łagodne zbocza, otaczające dolinę. Widownia pomieściłaby ponad 10 tys. osób.

Byłoby to, obok Sopotu, druga „opera leśna” w kraju. Impreza zwiększyłaby znacznie atrakcyjność Gdańska w sezonie letnim. Zarządowi miasta Gdańska gratulujemy pomysłu i życzymy szybkiej realizacji.

### CO NAM OBIECUJĄ TEATRY.

Ogólnie można powiedzieć: dużo. Naučení smutnym doświadczeniem, naučení przykrymi wynikami porównań przedsezonowych obietnic z końcowym bilansem przyjmujemy zapowiedzi na kredyt.

Oto Teatr Współczesny (dawniej „Klasyczny”) w Warszawie zapowiada, że już wkrótce otworzy swoje podwoje pod dyrekcją M. Meliny i M. Górczyńskiej, oraz pod kierownictwem artystycznym Erwina Axera. Zespół teatru stanowić będą głównie artyści łódzkiego Teatru Kameralnego z H. Bielicką, Chojnacką, Drapińską, Eichlerówną, Górczyńską, Horecką, Mrozowską, Słaską, Szafliarską, Borowskim, Daczyńskim, Duszyńskim, Jaroniem, Mikolajewskim, Meliną, Łapickim, Staszewskim na czele.

Reżyserami teatru będą: M. Melina, J. Kreczmar, K. Rudzki i E. Axer.

Repertuar teatru będzie uwzględniał przede wszystkim sztuki autorów współczesnych, w szczególności nowe sztuki dramaturgów polskich. Z repertuaru klasycznego w każdym sezonie wystawiane będą jedna — dwie sztuki.

Teatr otworzy sezon wznowieniem, granej z wielkim powodzeniem w Łodzi, sztuki dziennikarza amerykańskiego Stewarda — „Gwiazda Trzech Króli”. Z kolei wejdą na afisz — nie grana dotychczas sztuka L. Kruczkowskiego „Niemcy” i sztuka o Puszkynie pt. „Współczesny” (Sowremiennik) pióra radzieckiego pisarza Paustowskiego, w przekładzie Pawła Hertzka.

A teraz, dla odmiany obietnicy Wrocławia:

Henryk Szletyński, nowy dyrektor i kierownik artystyczny Państwowego Teatru Dolnośląskiego we Wrocławiu, zapowiada, iż w nowym sezonie będzie utworzone przy teatrze studio aktorskie, do którego kierowani będą przede wszystkim uzdolnieni amatorzy z zespołów świetlicowych robotniczych i wiejskich. Wykładowcami będą: m. in. dyr. Szletyński, reżyserzy Karbowski, Wierciński i in. Funkcja kierownika literackiego teatru powierzona zostanie zespołowi młodych dramaturgów, którzy metodą dyskusyjną prowadzić będą selekcję sztuk zgłaszanych do repertuaru.

Sezon w Państwowym Teatrze Dolnośląskim otworzy „Zemsta” Fredry z dekoracjami prof. Daszewskiego. Na konkurs na najlepsze przedstawienie sztuki radzieckiej wystawiona zostanie sztuka Iwanowa „Pociąg pancerny 14-69”, względnie jedna ze sztuk Trenie-wa lub Sławina. Przewidziane jest wystawienie „Henryka IV” Szekspira w reżyserii Wiercińskiego, z Kurnakowiczem w roli Falstaffa.

### SZTUKA POLSKA W MOSKWIE

W ramach otwartej niedawno w Moskwie Wystawy Polskiego Przemysłu Lekkiego odbywa się w stolicy ZSRR szereg polskich imprez artystycznych, organizowanych staraniem Biura Współpracy Kulturalnej z Zagranicą przy Ministerstwie Kultury i Sztuki.

Wśród imprez tych wymienić należy zbiorową wystawę dzieł Ksawerego Dunikowskiego, pośmiertną wystawę dzieł Felicjana Kowarskiego oraz wystawę retrospektywną malarstwa polskiego XIX i początku XX w.

Obok tych trzech wielkich wystaw, urządzono też pokaz polskiej karykatury politycznej ostatnich lat w reprodukcji fotograficznej.

Dalszy program to występy artystyczne, a przede wszystkim popisy zespołów ludowych z Szamotuł, Łącka i Suchobólu, liczących łącznie 54 osoby.

### PLAKAT POLSKI W NOWYM JORKU

We wrześniu otwarta zostanie w Nowym Jorku Międzynarodowa Wystawa Plakatów, w której weźmie udział także Polska.

Organizacją działu polskiego zajmuje się Biuro Współpracy Kulturalnej z zagranicą, które wysłało na wystawę 69 plakatów wykonanych przez czołowych naszych grafików, jak Gronowski, Karolak, Tomaszewski, Staniszkis, Trepkowski, Lipiński i in.

(Dokończenie na stronie 7)

# Wiersze Marka Chmury (Zdzisław Stroiński)



Ojczyznę unosić na łachmanach stóp  
napróżno.

Uszliśmy śmierci wiarę łamiąc w dłoniach  
a wciąż czekamy na śmierć jak jałmużnę.  
Kalecząc nogi na odłamkach broni  
polscy pielgrzymi do straszliwych jut.

Po huraganach szarż tętniących w strzałach,  
po srebrnych dzwonach beznadziejnych bitew  
północ armat wezbrana echemi bez dna.  
Upiór słońca odkrywał poszarpane ciała,  
przez dym i klęskę wstającego dnia.  
Kiedy serc zabrakło w śmierci pozostałej  
ojczyzny szliśmy szukać  
i błękitu.

Daremnym konań piolunowa wzniosłość  
gaśta jak orły sztandarów — zdobytych,  
by straszyć rdzą chelmów przekleństwem pozostałych  
i ramionami krzyży wечно pytać.

Krwawiliśmy długo na straconych szańcach  
ręką Boga rzuceni na śmierć jak kamienie.  
Legliśmy — wilki wyjące na grobach  
bluźniąc ciskaniem połamanych szabel,  
w lochach cierpienia  
wygnancy,  
naród Hiobów.

Dziś na koturnach rozpacz i męki  
patrzemy z bliska w prędką twarz historii  
i spod kół wojny miażdżącej nas w biegu  
krzyk oczu zastygły w jeden czarny punkt —  
z otchłani jęku  
z dymu krematoriów — — — bunt.

Dlaczego  
jakto?

Ze czołg dziejów zarzuca ze zgrzytem na skrócie  
dlatego ginąc jak zwierzęta w jatkach,  
dlatego Wawer —  
dlatego Oświęcim?

Z Hiobów w Konrady  
szaleni przez wielkość.  
Krzywd męki śmierci najświętszą pożogę  
i rozpacz zemsty krzyczącej o krew —  
rzucamy Polskę w twarz zimnego Boga —  
obelgę.

\*\*

Trzask karabinów  
łamane sucho metaliczne trzciny,  
wiatr ostre złamki ciska do stóp drzewem.  
Drzewa zwichrzone w obręczach zygzaków,  
wiry łomotu w zszarpanych koronach  
klucze pocisków — z szumem krzykiem ptaki.  
Dymy i rzeczy zgubiły kształt — lecąc.  
Pnie liście korzenie gałęzie wykroty  
ryją w pamięci noc i zapadliska.  
Huk fioletowy — płaty nieba w ziemię  
w tańczące niebo ziemia — klęb wyprysków.

Dyszące gardła rozpalonych pieców  
zrucają zgrzyty fruując z furkotem.  
W powietrzu roje czerniałych kraterów  
z błysku i ognia uplecione płoty,  
wyjąca przestrzeń w ślepe zgluchłe klatki.  
I wtedy w bramach między dniem a mgłami  
dzieciństwo krągle pozłacane w zbożach  
i całe życie leży w trawie szkliste.

Gdy wybuch nicóż kręgami otworzy  
przyplwy żółtych i czerwonych płatków.  
Czas przewrócony bzyka jak rój much.  
Gdy pomruk z nieba darł chmury i wołał  
strząsając czarną czkawkę w kłęby larw,  
przez siny z orbit wysadzony słuch  
dzień oszalały — jastrząb płaskie koła.

Przez cienie skrzydeł piekielnych wiatraków  
gdzieś w świadomości płonących zaroślach,  
już nic — czarna smoła.

Wtedy wichr śmierci porwie do ataku.  
Ebem na dół w mrok studni naośleń naośleń.  
Skokami skokami

pod krzaki, do lejów  
mundury mundury  
tam dymy się chwieją  
widać widać widać

w dymie jak w okopach  
na trawie blask helmów  
dopaść dopaść dopaść.

Ich twarze ich twarze  
ostrza epoletów

kolbami zębami  
bagnetem bagnetem.

Wtedy Bóg odszedł na barkach płomienia  
i słońce pękło jak bańka mydlana.  
Długie pielgrzymki śpiewających kłosów  
idące wolno w zbożnym zamyszeniu  
i pochylone na kolana  
już Go tam nie znalazły  
ni w pustych niebiosach.

Opustoszały drewniane kapliczki  
dawniej rój barwnych świętych tulące jak kwiaty.  
Zwiądl święty Franciszek wątły i słowiczy  
i Maria błękitna i Józef sękaty.

Bóg zawisł na niebie ciężki jak kometa  
do okien się zniża przeraźliwą chmurą  
nad kręgiem ziemi przez krety porytym.  
Orkany przelatują, przelatują górą  
w tłumie pożegnań żalobnych biją miarowo godziny.  
Z głębi darni stwardniałej daremnie się kości dźwigają.  
żegnania żegnania tężeją i nie ma już żadnych wawitań.

Mgły się wzdeły widmami zatopionych krajów.  
Wielkie żelazne skały i okręty  
piersiami wrosły w nieruchome fale  
w ciemnej grocie odjazdu rwą się z jękiem liny.  
Wiatr nie porusza flagami zwisłymi jak ranny ptak.  
Widziano maszty wśród lasów na ziemi płaskiej jak talerz.  
Głazy spękane klękają na stopniach kamiennej świątyni.  
niemo wołając o znak.

I znak napełnia zmienione powietrze  
ciężkie oczami Boga, co wyszedł z ram niedziel  
i świętych opuścił drzemających w kaplicach.  
I ziemię przeniknął okrutną spowiedzią  
i piersi draży cicho jak gruzlica.

\*\*

Śniły się szarże w chmurach chorągiewek,  
zółte rabaty — chłopcy malowani,  
tęcze piosenek, wojsko w snów topolach —  
lśniące poezja na ostrzach uniesień.  
Wiatr w zagajnikach o piechocie śpiewał  
ułani ułani.

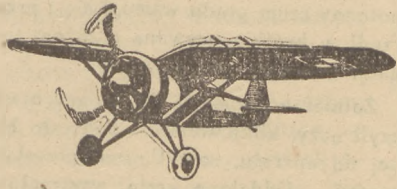
Przez pola.  
Polska dźwięcząca srebrną burzą szabel  
z skrzydłami mitów u czołgów i dział,  
została w orłach skrwawionych u granic  
pożarem mogił jak posąg wysoka.  
I tylko chiopi u wrót zapłakani  
chcieli zatrzymać uchodzące wojska —  
Prometeusze u granicznych skal  
przykuci  
do Polski.

A my wydarte z gniazd zbłąkane ptaki  
odwrotu ból mierząc deszcze me słabych kroków.  
w strzępach mundurów niosąc przeczuć smutek  
zgubieni w zmierzchach swych cierniowych szlaków  
w patosie klęski zakrzepili jak lód.  
Z cisz pobożowski wrzosami porośłych  
na wschód.



Janusz Kędziński

# Lotnicy polscy w Kampanii wrześniowej



Piloci niemieccy, którzy 1 września wykonywali swoje pierwsze zadanie bojowe, nie spodziewali się zapewne, że ich to właśnie nowo czesna i potężna broń — lotnictwo — będzie pobite i prawie całkowicie wyeliminowane z akcji znacznie wcześniej przed ostateczną klęską armii lądowej.

Wbrew dość rozpowszechnionemu mniemaniu, żywa siła lotnictwa polskiego, działająca wyłącznie z lotnisk polowych, nie została zniszczona jeszcze przed startem na ziemi przez naloty niemieckie. Eskadry nasze wykrużyły się w walkach, w niezliczonych zmianach lotnisk polowych i startach na nieodpowiednim terenie. Potężne uderzenie niemieckie poszło na stare, doskonale im znane lotniska pokojowe — gdzie bomby zniszczyły fabryki, warsztaty i ogołocone z samolotów, puste hangary. Dopiero 3 września niemiecki sztab generalny zdał sobie dokładnie sprawę, że jednostki polskie pracują nie z lotnisk pokojowych, a z małych i trudnych do zauważenia lotnisk i lądowisk polowych.

Naprzeciw setek najnowocześniejszych samolotów niemieckich wystartowały natychmiast, na swym mocno przestarzałym sprzęcie, eskadry polskie. Padły pierwsze bomby i prawie jednocześnie pierwsze samoloty naznaczone swastyką na skrzydłach dymiały zaryły się w ciche, jesienne pola. Od Polski zaczęła się wielka bitwa lotnictwa niemieckiego, bitwa w której piloci hitlerowscy rozłożyli swe kości od Murmańska do Tobruku, od Atlantyku do Stalingradu. W tej długotrwałej walce — w czasie której stawiali czoło potężde Luftwaffe piloci wszystkich prawie narodów świata — zaszczyt strącenia pierwszych dzieł siałków napastników przypadł lotnikom polskim. Od porannego, historycznego już zestrzału, rozpoczęło się powolne, ale systematyczne kruszenie potęgi powietrznej niemieckiej, rozpoczął się korowód setek, a potem tysięcy samolotów ze swastyką, strąconych w okresie 1939 — 45.

Około godziny szóstej rano prawie równocześnie zestrzelono trzy bombowce niemieckie: dwa pod Krakowem i jeden w okolicach Warszawy. Palma pierwszeństwa przypadła por. Gabszewiczowi z pułku warszawskiego. Zwycięski pilot tak oto opisał swą walkę w czasie której, jak się potem okazało, został zestrzelony pierwszy samolot w wojnie światowej 39—45 roku:

„Ranek 1 września 1939. Stoiemy w Poniatowie na północ od Warszawy. Samoloty ukryte w lesie. Namiot, gdzie urzęduję jako pisarczyk jest między eskadrami na skraju zagajnika.

Otwieram telefon — mówi sztab:

— Niemcy przekroczyli granicę pod Działdowem o godz. 4.45 rano.

Patrzę na zegarek — jest 6.30.

Wychyłam się z namiotu i

krzyczę przez tubę: Wszyscy piloci do maszyn — czekać na rozkaz startu!

Nie upłynęło pięć minut od pierwszej depechy a otrzymuję rozkaz: Dywizjon w pełnym składzie — start!

Kulesza, mechanik „czwórki” aż poczerwiał z radości, że i jego maszyna będzie miała chrzest bojowy.

Dywizjon wykołowuje z ukrycia do startu trójkami. Ustawiamy się skrzydełko przy skrzydełku. Wszystko odbywa się sprawnie tak jak przy lotach treningowych na Okęciu. Serce się raduje. Mechanicy żegnają znakiem Krzyża Św. każdy samolot. Przecież to na wojnę. Pierwszy raz.

Ciągniemy w górę. Wkrótce przecinamy cieniutką warstewkę porannej mgły i pniemy się wciąż do góry w kierunku na północ. Szybko dochodzimy do wysokości 1.500 m. Nagle dostrzegam o jakieś 500 m wyżej przed sobą pięć samolotów idących w przeciwnym kierunku. Zdebiłem. Pierwszy raz w życiu widzę na samolotach czarne krzyże — może to halucynacja? Zadzieram samolot ile mogę do góry i ciągnę teraz świecą do tych krzyży. Widzę kątem oka, że moi boczni nie wytrzymują małej szybkości i stopniowo odłączają. Odkladam poprawkę. Brrr... Brrr... Dwa ciurki ognia biegną świecąc do szkopów. Tu moja maszyna zadrzała. Bęc... i nagle jestem w korkociągu. Oddaję drążek sterowy, daję przeciwną nogę. Kor kociąg zahamowany, ściągamy ster by uzyskać utraconą wysokość. Zawsze, znowu jestem w korkociągu... — Stary a głupi — pomyślałem strofując sam siebie — zaczekaj chwilę aż samolot nabierze szybkości. — Wyprowadzam. Jakiś samolot jest tuż przy mnie. — To Nie-wiara.

Rozglądam się i widzę w nie wielkiej odległości pięć bombowców.

Ciągniemy na pełnych obrotach. Rozpoznaję szkopów — to Heinkle 111. Pod nami Modlin. Czym bliżej Warszawy, tym więcej samolotów własnych na niebie. Dołącza do mnie trzecia maszyna — to Boguś.

Bliżej, coraz bliżej. Jakos strasznie ciężko idzie to zbliżanie. Otwieram ogień. Jest zupełnie blisko. Po moich skrzydłach przebiegły nagle iskierki. Teraz dopiero widzę, że czerwono-zółte kropelki płyną od Niemca — aha, to i on także strzela. Dziwne widowisko. Moje smugi pocisków dochodzą do bombowca i gasną w nim, w końcowej fazie dając dużą iskrę. Widzę tych ogników sporo. Wydaje mi się, że wszystko odbywa się bardzo powoli. Jak w zwolnionym filmie. Akcja ta ciągnie się już chyba dziesięć minut. Ale przecież to niemożliwe — przecież mam jeszcze sporo amunicji. Cały ten cyrk trwa dopiero od paru sekund.

Wtem widzę, a wydaje mi się nawet, że słyszę wybuch. Płomień i dym wydostają się z lewego silnika szkopa. Wydaje się jakby ktoś go ściągnął lejcami, bo mój cel zostaje nagle za szczykiem. W parę sekund póź-

niej, odrywają się dziwne przedmioty od podstrzelonego. To bomby. Skręca w lewo w dół. Jest dziwnie powolny — już teraz nie mam kłopotu z doganianiem. Odchodzę lekkim skretem w lewo i wciąż obserwuję. Strzelec ciągle się broni, po pewnym czasie jednak uspokaja się. Dochodzę znowu bliżej. Lufa karabinu na ognie sterczy nieruchomo do góry — milczy. Zbliżyłam się jeszcze bardziej. Widzę wyraźnie strzelca, głowa oparta o prawą burtę.

Pilot widocznie ma nadzieję dolecieć do swojej bazy, gdyż robi skręt o 180 stopni i bierze kierunek na Prusy Wschodnie. Schodzę za nim coraz niżej, niżej. Wyraźnie widzę ruch samochodowy na jakiejś szosie. Za chwilę idziemy obaj lotem koszącym. Od pięciu minut zabrakło mi już amunicji.

Duża polana ograniczona z trzech stron lasem, z czwartej zaś szosa. Heinkel zmniejsza co raz bardziej szybkość — nie mogę utrzymać się teraz za nim. Zrezygnował widocznie z powrotu i zamierza siadać przed siebie na polanie.

W ostatniej chwili, nie będąc wyżej jak dwa metry nad ziemią, zawadził lewym płatem o samotne drzewo.

Kurzawa i dym. Podrywam swój samolot do góry. Rozglądam się. Lewy płat Heinkla urwany, drzewo także przewalone. Kadłub leży skręcony o 90 stopni od kierunku podchodzenia do lądowania. Zaczynam krążyć. Wyciągam mapę, muszę bowiem zorientować się gdzie jestem. Wiem że jestem na północ od Bugo-Narwi. Wreszcie orientuję się, że jestem na południe od Ciechanowa. Zaczynam paznokciem na mapie miejsce gdzie leży mój pierwszy zestrzelony samolot. Wracam. Znikła mgielka poranna, tworzą się chmury. Ląduję na lotnisku. Podbiega Kulesza i stara się przekrzyknąć szum silnika:

— Startować — kierunek 16!  
— Nie wyłączając silnika czekam parę minut aż uzupełnią mi amunicję. Znowu start.

Patrzę w kierunku na północ — na Prusy. Już widzę Chmura samolotów przesuwających się od Modlina. Idzie wyprawa za wyprawą: Heinkle, Junkersy, Dornieri. Idą i idą — końca nie widać. Wtem z przeciwnego kierunku małe punkciki. Rosną w oczach. To nasi. Atakują z przewagą wysokości i z przodu. Znaleźli sposób na szybkość samolotów niemieckich!

Niedługo byłam, może dwadzieścia minut w powietrzu i zostałem zestrzelony. Jeszcze dziś nie mogę sobie darować, że nie patrzyłem na swój ogon.

Po wylądowaniu na spadochronie byłam tak zdenerwowana, że trząsałem się. Zwinąłem jedwab pod pachę i idę w ogólnym kierunku na lotnisko.

— Dzięk Ci Boże za ocalenię — jestem w stanie powtórzyć tylko te słowa. W głowie się kręci, czuję że słabnę. Widzę słońce, które staje się pomarańczowe. Przeżywam jeszcze raz wstyd, złość i strach — wszystko razem: — Jak mogłem tak się zagapić, żeby ten szkop wlał mi na ogon! — Odczuwam ból nóg i rąk. Teraz dopiero spostrzegam, że jestem popalony. Siabo mi. Pocieram twarz

ręką, coś rozmazałem na twarzy, która zaczyna silnie szczy-pać: — Oho, to i pysk osmalilo. — Powoli człapię pełną drogą między kartofliskiem.

Dochodzę do toru kolejowego — za torem lotnisko. Widzę już samoloty. Między torem i lasem stoi grupka ludzi i samochód sanitarny. Podchodzę. Na rozłożonej na ziemi skórze lotniczej leży człowiek, a właściciel był człowiek. Ręce czarne, wydają się zwęglone, twarz też czarna, zostały tylko białe ślady od okularów. Ubranie całe skrwawione.

To Felek Sz. zestrzelony w płomieniach. Wyskoczył, a Niemiec obrabiał go w powietrzu, gdy wisiał na spadochronie. Czternaście ran.

Wieczór w Poniatowie. Na stole w jadalni leży F. nagi, a doktor wyjmuje ze skrwawionych ran odłamki, chłop jęczy coś i mamroce. Pod ścianą na czterech zastawionych krzesłach leży kpr. H. Postrzał w plecy, czeka swej kolejki na zmianę opatunku, gdyż pierwsze bandaże przekrwawiły się. W drzwiach stoi błądy Jurek R. z obwiązaną łapą. Podobno mam mocne nerwy, ale nie jestem w stanie zapomnieć tego widoku.

Wieczorem staramy się zrobić w przybliżeniu bilans pierwszego dnia wojny: w powietrzu była ogromna robota. Pamała, Guccio, Felek — popaleni. Stefan i dowódca eskadry krakowskiej — zabici. Zestrzelonych maszyn szkopskich mamy jednak sporo.

Podobnych spotkań w powietrzu, kiedy to zwycięski pilot polski stawał się zwyciężonym i po zbawionym narzędzia walki już do końca wojny — odbyło się w przeciągu września dziesiątki i setki. Pomimo bezmiernej ofiarności i doskonałego wyszkolenia poszczególne zespoły lotnictwa polskiego, jako całość, zadania swego nie spełniło. Spełnić go w ówczesnych warunkach nie mogło. Społeczeństwo nasze, ciesząc się wspaniałymi zwycięstwami Polaków w różnych pokojowych konkursach samolotów sportowych, miało długi czas żal do swoich ulubieńców. Nie mogło ono sobie po prostu wytłumaczyć niespodziewanie słabego naszego oporu w powietrzu. Toteż osiągnięcia naszych pilotów z tego okresu zostały szybko przytłumione rzeczywiste wspaniałymi, zwycięskimi walkami w rok później w ziemi angielskiej i poszły szybko w niepamięć. Nie wchodząc w szczegóły operacyjne czy też organizacyjne, bo nie jest to celem tych słów, porównam tylko krótko udział cyfrowy naszych lotników w dwóch tych bitwach obronnych: ziemno - powietrznej 1939 i czysto powietrznej, pierwszej w dziejach w 1940. Zupełnie odmienne warunki walk, inne możliwości uzupełnień strat itd. nie zezwalały na absolutną ścisłość porównania, które zresztą w takich wypadkach jest zawsze bardzo względne. Pomimo to, uprzytomnienie sobie z jakimi wynikami stoczyli lotnicy polscy klęskową bitwę wrześniową — w zestawieniu ze zwycięską, opromienioną sławą światową „Bitwą o Anglię 1940” może być interesujące. Będzie tu mowa wyłącznie o myśliwcach — bo oni to mieli decydujący głos w obu tych spotkaniach.

We wrześniu 1939 r. (tylko 16 dni walk powietrznych (około 140

myśliwców polskich straciło 126 samolotów niemieckich na pewno, 10 przypuszczalnie i 14 uszkodziło.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę nielity stan eskadr polskich, krótkotrwałość kampanii i ubóstwo techniczne — to należy tylko wyrazić podziw nad ilością osiągniętych zwycięstw powietrznych. Przecież nie każdy myśliwiec polski zestrzelił jednego napastnika, często więcej.

Względniając jednak ogólną ilość sił zaangażowanych przez Luftwaffe — okaże się, że zwalczono jedynie cztery procent samolotów Flot Powietrznych operujących we wrześniu nad Polską.

Rzecz jasna, że nie mogło to przynieść prawie żadnej ulgi, ani armii, ani ludności cywilnej.

W ciągu całego września 1940 (miesiąc najwyższego napięcia walk) około stu pilotów myśliwskich polskich straciło 134 samoloty niemieckie na pewno, 22 prawdopodobnie i 12 uszkodziło (było to 15,4 procent ogólnych zestrzeleń Lotnictwa Brytyjskiego).

Trzeba pamiętać, że Luftwaffe pojawiły się nad Londynem z idetycznymi samolotami jakich używała nad Polską w roku 1939. Polscy piloci myśliwscy natomiast zamiast przestarzałych P7 i P11 mieli do dyspozycji Hurricaney i Spitfirey — oprócz tego świetny aparat łączności i dowodzenia.

Czym różniły się spotkania w Polsce od tych staczanych na Wyspie niech świadczą dwie relacje — obydwie z walk warszawskiej eskadry Kościuszkowskiej.

Tak oto wyglądała pierwsza bitwa nad Warszawą w kampanii wrześniowej według opowiadania dowódcy eskadry:

„W tym momencie spostrzeżliśmy o jakieś dwa i pół kilometry przed nami ławę nieprzyjacielskich samolotów, lecących w naszym kierunku. Była to wyprawa bombowa Heinkle 111 idąca na Warszawę. Szły w szyku bojowym, było ich przeszło 40.

Pierwszy atak przeprowadziliśmy z przodu z góry. Zaskoczyli Niemcy zrzućli bomby na pola i wdałi się z nami w walkę. Za chwilę szyk ich był rozbity, potworzyły się w powietrzu pojedyncze spotkania. W ten sposób rozpoczęła się pierwsza w tej wojnie walka powietrzna na szczy 111 eskadry Kościuszkowskiej.

Po zauważeniu nieprzyjacielskiej wyprawy mój prawoskrzydłowy podporucznik Pawłusiński od razu wysunął się przede mnie. Stało się to dzięki jego lżejszej maszynie (miałem radio i podwójną ilość kaemów). Bardzo powoli zaczął dochodzić do ogona zmykającego Heinkla. Tylni strzelec bombowca, nie żałując amunicji, prawie bez przerwy grzał pociskami zapalającymi — zostawiając w powietrzu charakterystyczne białe smugi.

Pawłusiński nie strzelał, ale z zimną krwią, nie zważając na ciągły ogień Heinkla, coraz bardziej zbliżał się do niego. Odległość między mną a samolotem podporucznika stale wzrastała i w tę lukę wpakował się z góry drugi szkop. Począł dochodzić do ogona „pezetelki” Pawłusińskiego, chcąc widocznie przyjść z pomocą pierwszemu Heinklowi. Powstała dziwna sytuacja: Heinkel za nim Pawłusiński, następnie drugi Heinkel — a za nim ja.

(Dokończenie na str. 7-aj)





# Czytelnik uważa, że...

**W niniejszej rubryce drukować będziemy wypowiedzi i opinie naszych Czytelników na temat wszelkich zagadnień życia społecznego, politycznego, społecznego, gospodarczego i kulturalnego, choćby odbiegające od stanowiska redakcji.**

**Wypowiedzi winny być opatrzone imieniem i nazwiskiem lub pseudonimem (w tym wypadku nazwisko winno być podane do wiadomości redakcji) oraz nazwa miejscowości. Wypowiedzi nie powinny przekraczać 50 wierszy druku. Ze względu na brak miejsca, redakcja zastrzega sobie prawo przeprowadzenia ewentualnych skrótów z zachowaniem pełnego sensu nadesłanych listów.**

## DO REDAKCJI „DZIS I JUTRO” W WARSZAWIE

Ciekawą bardzo łamigłówką jest umieszczony w „Dziś i jutro” (Nr 32) artykuł, zatytułowany „Prawo do twórczej pracy”. Autorowi bowiem nie chodzi jak zaznacza „...o twórczość w sensie tworzenia rzeczy nowych”. Staje on na stanowisku, że „...twórczy stosunek do pracy oznacza pełne włączenie osobowości człowieka w proces działania”. Trzeba się tutaj do brze zastrzeżeń nad tym jaką wstawić na miejsce słowa „osobowość” w cytowanym wyżej zdaniu, definicję — aby dalsze wywody autora nie budziły zastrzeżeń. Tymczasem zaś tyle jest najrozmaitszych definicji osobowości. Nie mówię już o tym, że każda nauka podaje inną, ale w obrębie filozofii, socjologii, czy psychologii spotykamy najrozmaitsze sposoby interpretowania pojęcia „osobowość”. Spróbujmy na przykład podstawić definicję osobowości w normatywnym ujęciu, które twierdzi, że osobowością staje się człowiek dopiero przez celową pracę nad samym sobą. Osobowość tak rozumiana jest jakby najwyższym efektem ewolucji jednostki. Nie tak chyba jednak rozumiał osobowość autor artykułu. Najlepiej prawdopodobnie będzie tutaj odpowiedź dało szerokie Sternowskie ujęcie, w którym do zakresu osobowości zaliczony jest cały człowiek jako pewna całość psychofizyczna. Twórczy stosunek do pracy oznaczać więc będzie pełne włączenie człowieka jako jednostki psychofizycznej w proces działania. Domagając się powszechnego prawa do pracy twórczej w takim ujęciu, czyż nie jesteśmy o krok od wyżysku pracownika? Czyż takie ustosunkowanie się do pracy było rzeczą niewygodną jedynie warunkom uprzywilejowanym?

Autor podaje w swoich rozważaniach kilka warunków, które mają umożliwić twórcze ustosunkowanie się do pracy. Jeden z tych warunków mówi, że „...rodzaj pracy musi odpowiadać psychofizycznemu dyspozycjom pracującego” — jest to zresztą znana zasada, której celem jest osiągnięcie jak największej wydajności. Według następnego warunku „praca wykluczająca twórczy udział osobowości musi być przekazywana maszynom”. Znowu zagadka. — Jak ustalić, który rodzaj pracy wyklucza pełne włączenie człowieka jako jednostki psychofizycznej w proces działania. Różnice między dyspozycjami psychofizycznymi jednostek są ogromne. Jednych kwalifikują one do prac czysto mechanicznych, a drugich do prac wymagających dużego wysiłku umysłowego. Pewne wyjaśnienia ze strony autora są chyba jednak konieczne.

Dlaczego mamy właściwie pominąć ogólnie przyjętą opinię, że twórczość, jeden z najbardziej cennych pierwiastków psychiki ludzkiej — to zespół zdolności, dzięki którym powstają w umyśle i bywają urzeczywistnione pomysły rzeczy nowych. Uprawianiem jednostki do tego rodzaju aktywnej działalności będą jej uzdolnienia, które powszechnym obowiązkiem jest rozwijać i kształcić. Wszystkie zaś twórcze pomysły należy otoczyć opieką i przyjąć im z pomocą.

Autor słuszną zrobił uwagę na początku artykułu, że bardziej ogólnym rozważaniem na temat pracy grozi zawsze niebezpieczeństwo uproszczeń i nadmiaru uogólnień. Zagadnienie pracy jest jednak tak ogromnie ważne, że wskazanie się artykułu na ten temat w „Dziś i jutro”, należy przyjąć z gorącym aplauzem. Oczekiwanie zaś przez czytelników na dalsze wypowiedzi dotyczące tej dziedziny jest chyba najzupełniej uzasadnione.

Basiańska — Katowice.

### NIEPRZYWOITOSC. ALE CZYJA?

W jednym z listów do redakcji „Dziś i jutro” (nr 28) p. Stefan Kisielewski wyraża wątpliwość co do słuszności

twierdzenia, wyrażonego w liście p. B. C., że poruszanie tematów „zbrodni, bijatyk, wyczynów erotycznych itp” jest „grą na najniższych instynktach”. Zauważa przy tym, że fakt iż wszyscy żyjemy „zawdzięczać należy dokonanym przed laty „wyczynom erotycznym”. Przy końcu listu pisze, iż „twierdzenie, że ludzkość istnieje dzięki „najniższym instynktom” wydaje się nieco ryzykowne”.

P. Kisielewskiemu chodzi, jak nie trudno się domyślić, o to, że poruszanie wspomnianych tematów nie zawsze jest grą na najniższych instynktach. Wydaje mi się, że aczkolwiek sprawa została potraktowana z humorem, jest ona tylko obroną zdrowego rozsądku przed atakami pruderii i świętoszkostwa i nie ma nic wspólnego z nieprzyzwoitością.

Alisi ci za taką uznać ją zasłużony bojownik o dobre obyczaje p. Z. Jakimiak i wytoczył przeciw p. Kisielewskiemu całą artylerię pruderii i demagogii.

O wypowiedzi p. K. pisze p. J.: „Jest ona niesmaczna i nieprzyzwoita w najwyższym stopniu i nikt w takie rzeczy nie zechce się mieszać, dlatego po prostu, żeby nie prześmierdnąć”.

„Osoby o prostackich gustach zobaczą w tym rozumowaniu „dobry kawał”. Co więcej uznają go za nieodparty argument za pornografią. Bo do tego rzeczywiście prowadzi to rozumowanie. Usprawiedliwia ono wszelki bezwstyd, nierząd, cynizm. Bo i dla czego milczeć, wstydyć się czynności naturalnych, żywotnych, koniecznych? Przeciwnie, trzeba o nich głośno mówić, pisać, pokazywać. Precz z pruderią! Niech żyje prawda życiowa, nagość, wolność itd.”

„Od stu lat przeszło — pisze dalej p. J. — rycerze nierządu walczą o swoje prawa i szerszą bezwstyd”. Dalej zapytuje, czy chociaż podstawą istnienia jest jedzenie, „ktokolwiek będzie z niej czynił przedmiot poematów, powieści, dramatu, obrazu czy rzeźby?... Ktoby tak robił, zostałby nazwany prostakiem, bydlęciem, słowem — człowiekiem nieprzyzwoitym, który nie ma nic do powiedzenia o rzeczach sztuki, czy filozofii”.

I cóż na to biedny p. K.? „Prześmierz!” już pewnie tak, że okna w domu nie zamyka nawet podczas burzy, bo dzieci w domu by się podusiły.

Ale żarty na bok. Jako osoba o prostackich gustach rozumowania p. K. nie uważam za „nieodparty argument za pornografią”. Sądzę, że zgodzą się ze mną i inne, nawet i mniej prostackie osoby. Zresztą i sam p. J., wyczerpany zasób inwektyw, stwierdza na zakończenie swego listu, że

„instynktami najniższymi” nie jest czysta i święta siła natury, której zawdzięczamy życie, ale bezwład woli w jej uporządkowaniu i kierowaniu, co narusza równowagę ducha i powoduje anarchię życia umysłu i ciała”.

I o cóż więcej chodzi? Nie ma dziedziny życia, której traktowanie w sztuce samo przez się byłoby nieprzyzwoite. Stąd zrozumiałe wątpliwości p. Kisielewskiego. A p. J. znajduje w nich temat do odsadzania go od czci i wiary. Chodzi tylko o to jak dana dziedzina została potraktowana i czy ten sposób nie jest pornografią. Ale p. J. dowodzi po prostu, że skoro nie była tematem dzieła sztuki jedzenie, to tym bardziej nie powinny nim być sprawy seksualne, b. „jest to dziedzina najściślej osobista i nikt nie ma do niej prawa, żadna obca osoba”.

Ejże! Czy nikt nie czynił jedzenia przedmiotem dzieła sztuki? A Rabellais, a Knut Hamsun, a van Gogh, a Gołubiew, a Gałczyński? Czy to naprawdę takie „bydła”? Czy oni naprawdę nie mieli nic do powiedzenia w rzeczach sztuki?

A teraz zapytanie: do jakich dziedzin ma prawo literatura, jeżeli zakazane są dla niej dziedziny ściśle osobiste. Czy rejony te mogą być obce pisarzowi

szczerze poszukującemu prawdy? Ale tu należałoby może zwrócić uwagę na jeszcze jedną sprawę. Chodzi mianowicie o to kto czyta i kto się gorszy. Ludzi, dla których przejawy życia, choć by najbardziej intymne, są rzeczą naturalną i jeżeli mieszczą się w ramach dozwolonych, nie mają nic wspólnego z grzechem — nie zgrzeszy dzieło sztuki, przedstawiające te właśnie przejawy. Wiadomo natomiast że gorszą one innych — i tych, którzy mają do tych przejawów iście purytańskie podejście i tych, którzy nie znają. Nie wszystkie dzieła są właśnie dla nich przeznaczone.

Nie wszystkie są też zapewne przeznaczone dla p. J., który powinien się nieco miarkować i w imię „przyzwoitości” nie napadać z niewybrednymi i nieobliczalnymi inwektywami na tych, którzy nie doś dla niego jasno sformułowali swoje spostrzeżenia. Tego rodzaju napaści do przyzwoitości nie należą.

Andrzej Witk

## SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Leży oto przede mną książka Deotymy pt. „Branki w jasyrze” w opracowaniu Stefani Draczkó wydana przez Wyd. „Chłopski Świat” w r. 1948. Jeżeli piszę „książka”, to popełniam dużą nieścisłość: powinienem się wyrazić „ogryzek książki”. Książka ta w oryginalnie liczy 7 tomów, w tym około 3 przypisków, najczęściej w języku francuskim, tak że na samą czystą treść po zostaje ze 4 tomy, łącznie ponad 1.500 stron. Ta sama książka po „opracowaniu” pani Draczkó ma stron 497, czyli skrócona została prawie o dwie trzecie, co w interpretacji pani Draczkó nazywa się „usunięciem zbytecznych fragmentów i dygresji”.

Te „zbyteczne fragmenty i dygresje”, wynoszące ponad 1.000 stron, to w największej części prześliczne, malownicze sceny, bądź historyczne, bądź obyczajowe, bądź ściśle związane z akcją powieściową książki, stanowią cały jej urok i decydują o jej wartości rzeczowej i literackiej. Usunąć je, to zrobić z dobrego dzieła popospolity „bryk”, rodzaj utworu cenionego przez młodzież szkolną w okresie przedegzaminowym, ale zawzięcie zwalczany i tepiany przez tych wszystkich, którym na sercu leży zarówno dobro książki jak czytelnika.

Muszę tu zaznaczyć i w każdej chwili gotowam moje twierdzenie udowodnić, że na domiar złego skrót został wykonany nieudolnie czy niedbale. Powiązania niezręczne, pozostawiono rażące luki, które denerwiają i nużą przy czytaniu. Krótko mówiąc, książkę ze psuto, pozbawiono wartości co najmniej w siedemdziesięciu procentach.

I tu się zaczynają moje wątpliwości: Wiem, że prawnie wolno było pani Draczkó zniszczyć tak książkę, która jeżeli nie należy do arcydzieł, to w każdym razie stanowi poważną pozycję w naszej literaturze klasycznej. Ale czy moralnie miała do tego prawo? Tym bardziej, że książka ta jest obecnie białym krukiem i jeżeli ktoś z wydawnictw, poważniejsze traktujących swe zadanie rozpowszechnienia literatury oczyszczonej, nie zajmie się wydaniem jej w oryginalnie, zaginie zupełnie, zostawiając po sobie smutny ślad w postaci oplakanego „ogryzka”, bryka w opracowaniu pani Draczkó.

Czy w ogóle celowe jest skracanie książek przez usuwanie „zbytecznych dygresji i fragmentów”? I kto jest kom

potentny w osądzeniu, które fragmenty i dygresje są zbyteczne?

Może wypowiedziałby się w tej sprawie któryś z pp. literatów lub krytyków literackich? Sądzę, że sprawa jest ważna i pilna, bo już pani Draczkó (lub kto inny, zachęcony dobrym przykładem), zechce teraz z kolei „opracować” „Lalkę” Prusa usuwając z niej jako zbyteczny fragment i dygresję „Pamięć niki starego subiekta”, lub na tej samej zasadzie wyrzucić z „Pana Tadeusza” „Koncert Wojskiego” czy „Grzybobranie”? Nieszczęsny los naszej literatury!

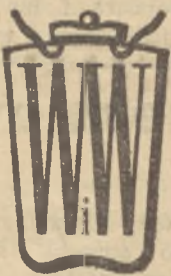
W. S.

## CHOCHLIK DRUKARSKI

W artykule moim pod tytułem: „Problemy karalności zabójstwa” („Dziś i jutro” z dn. 14 sierpnia), między innymi przeoczeniami korekty, trafiło się jedno, które polega na przedstawieniu części wiersza 2-go i 9-go w środ kowej spalnicie. wskutek czego kilka zdań straciło sens, a natomiast powstały takie kwiatki językowe, jak: „uniknąć paradoksalny miernik” oraz „znaleźć wspólnego wyniku”. Wekazywany fragment powinien brzmieć: „Gdyż chcąc znaleźć wspólny miernik wartości dla jakiegoś materialnego dobra oraz człowieka, trzeba by tego ostatniego uważać za surowiec dla produkcji mydła, ewentualnie za magazyn pewnej ilości siły towaru. Aby uniknąć paradoksalnego wyniku, przyjęto milczącą konwencję, że życie ludzkie jest dobrem „większej wartości” niż jakikolwiek dobro materialne”.

Maria Budzanowska

## WNĘTRZE I WYSTAWA PL. GRZYBOWSKI 2 WARSZAWA



PROJEKTUJE I WYKONYWA  
WNĘTRZA I WYSTAWY  
WSZELKIE WNĘTRZA,  
ŁĄCZNIE Z MEBLAMI  
BUDOWA WYSTAW

Na zamówienia kierowane  
do  
administracji „DZIS I JUTRO”  
Sp. Wyd. „PAX”

WYSYŁA

powieść  
G. BERNANOSA

## „POD SŁOŃCEM SZATAŃA”

Prosimy o wpłatę zł. 950— za egz.  
na konto PKO I-8515 lub przekazem pocztowym

*Sieci rybackie cienkie i grube  
Wore przeciwpiorowe tkanine*

*Takowosc dlugoletnie do-  
wiadczeno i udowodniono, ze  
bity nam opnie klientu  
niezmiennej doskona-  
losci naszych wyrobow*

WYTWORNIA WYROBOW TKACKICH  
inż. WITOLD IZDEBSKI i S-ka  
„IWIS” SP. AKC. GRODZISK MAZ. ul. SPÓŁDZIELCZA 2 tel. 7067

Redagują: Bolesław Piasecki, Dominik Horodyński, Andrzej Micewski.

Adres Redakcji i Administracji: Mokotowska 43; I p. Konto P.K.O. — Nr. I-727.

Sekretarz redakcji przyjmuje: codziennie, prócz poniedziałków i piątków, godz. 12 — 13.

Druk. Skolimowska 8.

Wydawca: Kolegium Redakcyjne

Prenumerata miesięczna 80 złotych. Kwartalna 180 złotych.

B-83435